

TVzVis Niezależna Telewizja Vis á Vis



fot. B. Kucharek, W. Morek

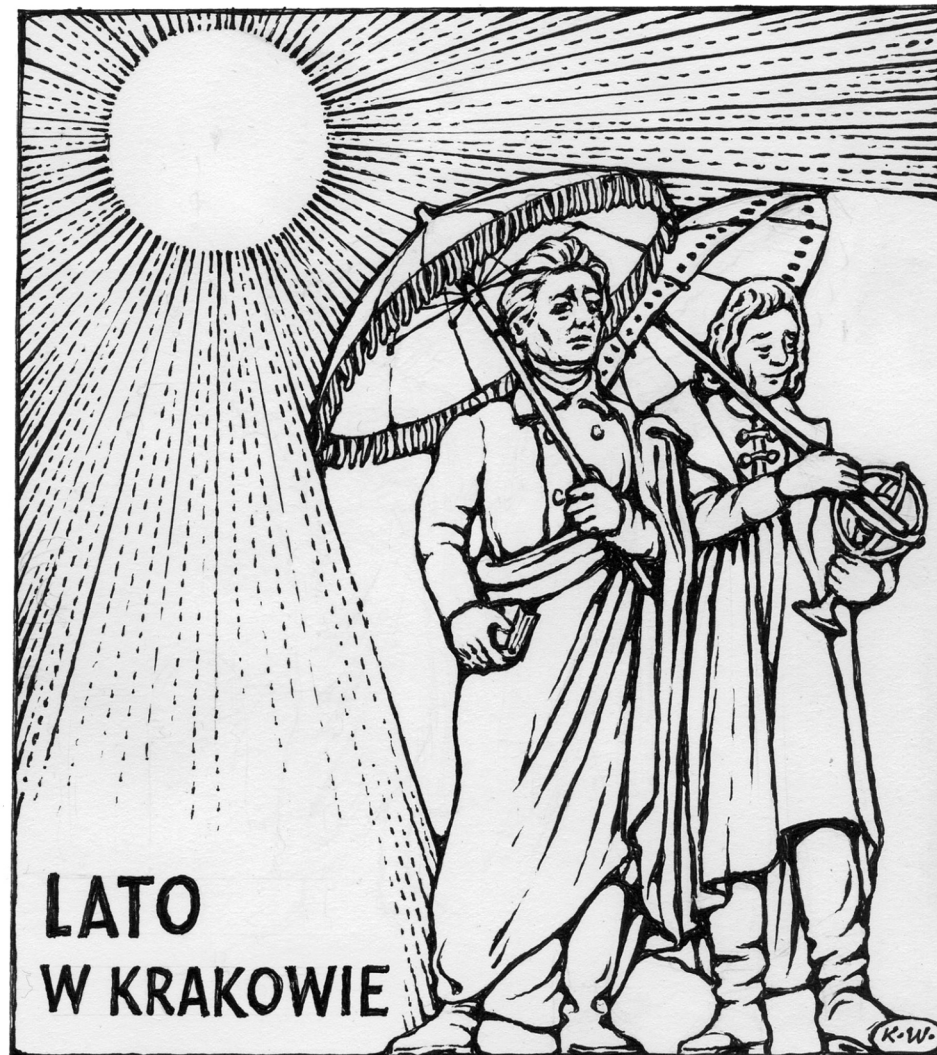
JEDYNA NIEZALEŻNA GAZETKA W KRAJU



numer 7 (176), Kraków, lipiec, sierpień 2023

"ViS A ViS"

fot. B. Kucharek



LATO
W KRAKOWIE

K.W.

rys: K. Wiśniak

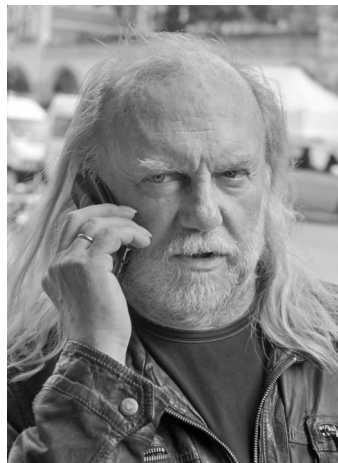
Andrzej Sikorowski

OKNO NA PLANTY (130)

Moda

Pisanie o modzie, gdy na łamach naszej gazetki publikuje guru tej dziedziny Jerzy Antkowiak, to sprawa ryzykowna. Ale nie o kreacje mi chodzi, o długość kiecerek, kształt nogawek, czy nakrycia głowy. Chcę poruszyć temat zjawiska społecznego, jakim moda niewątpliwie jest, a które to zjawisko zawiera w sobie pewien paradoks i o nim słów parę. Nosimy w sobie jakąś naturalną

tendencję by się wyróżnić w tłumie, a równocześnie ulegając trendom z tym tłumem się zlewamy. Kiedy pojawiły się pierwsze tatuaże (pomijam kwestię półświatka) noszący je mogli być postrzegani jako oryginalni, odważni, nietuzinkowi. Ale gdy dziury wszelkich możliwych kształtów i kolorów stały się powszechne, to ja jestem wyjątkowy nie posiadając na ciele podobnych ozdób. Kraków załaza ostatnio fala przytulaneek w formie domowego ptactwa (gęsi, kury) i zwierzyny futerkowej. Młodzieżowe wycieczki tulą w ramionach zwisający do ziemi drób wyprodukowany z miękkich materiałów gdzieś na dalekim wschodzie, sprzedawany u nas po kilkadziesiąt złotych za sztukę. Moda to także pomysł skutkujący wielkimi wpływami do kieszeni pomysłodawców. Wszak fortuny powstały za sprawą modnych perfum, torebek, kulinariów. Modne są seriale, miejsca wypoczynku, środki transportu (hulajnoga), aktorzy, sklepy i Bóg wie co jeszcze. Pod wpływem owczych pędów tracimy tożsamość, tworząc tłum z identycznym kodem estetycznym. I tylko moda na rozum jakoś się nie przyjęła.



fot: B. Zimowski



fot: archiwum

Po zimowej wiośnie „lato, lato czeka”, a z nim czas na wakacje. Jednak jedno i drugie z nieprzewidywalną pogodą, cenami i całą resztą. Na południu od Tatr, taniej, słoneczniej i cieplejsze morza. Słowem *All Inclusive*. Ktoś, kiedyś powiedział „*obys żył w ciekawych czasach*”. Już je mamy i chyba będą ze wszystkim, jeszcze bardziej nieprzewidywalne i ciekawsze – co nie znaczy, że lepsze. *Dobrze już było ?!* A.M.

Krzysztof Litwin - 88 rocznica urodzin

W czerwcu minęła 88 rocznica urodzin jednego z pierwszych aktorów i autorów kabaretu "Piwnica pod Baranami". Znanego m.in. z filmów "Rękopis znaleziony w Saragossie", "Popioły", "Lalka", "Przygody psa Cywila".



fot. archiwum

Szkic do portretu

**Wiecznie zdziwione dziecko...
z błękitem jezior w oczach
Kpił z odmian czasu i losu...
z Erosa i z Thanatosa**

**Mieszkał na Drodze Mlecznej
na rogu Plant i herezji
Malował światłem kobiety
i chwile boskiej poezji**

**Piruet kręcił na scenie
nie większej od kapelusza
Frantowską piosnką i gestem
ludzi do śmiechu wrzusał**

**Gdy się uśmiechał - płakał
Arlekin w ludzkiej komedii
W życiu... życie udawał
a w karnawale... śmiertelnych**

**Samotnie chodził po linie
rozpiętej nad snem wariata
I milczał smutkiem lirycznym
słuchając wrzawy świata**

19. 09 2016

Gazetka Vis a Vis: Copyright reserved by Bogusław Kucharek.
Wszystkie materiały publikowane są za zgodą autorów



Andrzej Dyga

materiały: Bogusław Kucharek,
skład i współpraca: Bogdan Zimowski
korekta: Andrzej Kowalski
sekretarz redakcji: Magda Konopska

Kontakt: Półeczka Vis a Vis,
www.zvis.pl
zvisrynek@gmail.com



visaviskrakow



fot: B. Zimowski

Roman Wysogład

Krupnicza 22 (fragment wywiadu)

Tak zwane warunki do mieszkania i życia były nad wyraz skromne. Dwie małe klitki przedzielone nazwijmy to łazienką, na korytarzu łączącym pokoje coś w rodzaju kuchni. Ale najważniejszy, jak w 1945 roku był dach nad głową.

Na czwartym piętrze królowałem sam. Za sąsiada przez ścianę miałem Adama Ziemianina, ale do niego wchodziło się przez inną klatkę.

Pode mną mieszkali państwo Zdanowscy, oraz wdowa po Stefanie Otwinowskim, która radia słuchała na cały regulator, więc nie musiało się włączać swojego.

Był to bezsprzecznie najweselszy okres w moim życiu, a także pewnie najowocniejszy twórczo, chociaż nie mnie to oceniać.

Z przyjaciół w tym czasie przy Krupniczej 22 mieszkali: Sadaj, Ziemianin, Żyszkiewicz, Polewka, a Staszek Cycz przemykał się w nocy pomiędzy swoimi demonami a Krzeszowicami, i przede wszystkim zapomniany dzisiaj trochę Leszek Maruta, w tej samej „klatce” co ja, na pierwszym piętrze mający dziwne upodobania zbierania marszy wojskowych z całego świata i puszczania ich w nocy na cały regulator.

Naprzeciwko niego mieszkał poeta wiejski Jan Bolesław Ożóg mający nam chyba wszystko za złe, gdyż bez przerwy na każdego z nas wysyłał idiotyczne donosy do wszystkich, możliwych instytucji.

Popijaliśmy, naturalnie, ale nie przy Krupniczej 22, gdyż tylko Maruta i ja nie byliśmy obciążeni rodziną, a nie wiedzieć dlaczego żony kolegów nie przepadały kiedy ich pociechy zamiast wymyślać metafory sięgały po kieliszek.

4. Jaka literatura, taki dom.

Kiedyś wracając do siebie nad ranem zatrzymałem się na podwórku, spojrzałem na rozpadającą się kamienicę i krzyknąłem: jaka literatura, taki dom.

Niestety, ale była to prawda. Tak zwana transformacja z legendy Krupniczej 22 uczyniła – co naturalne, odnaleźli się spadkobiercy – przedmiot prawa handlowego.

Po drugie przez lata wielu pisarzy zmarło, część zmieniła partnerki (np. Ryszard Kłtyś) i się wyprowadziła, więc ze świetności pozostały tylko wdowy, były żony i kilka kochanek, plus Ziemianin, Żyszkiewicz, Polewka, Sadaj i ja, który wtedy już przez większą część roku mieszkał w Goteborgu.

Tak oto, niepostrzeżenie ale konsekwentnie i stanowczo Krupnicza 22 przemieniła się w zwykłą kamienicę, w której – jak w każdej – naturalnie straszy, ale już nie literatura.



fot: archiwum

Wciąż przed siebie

(z tomiku „Bieszczadzkie anioły”)

Dom zamykam na słowo honoru
Klucz zostawiam pod kamieniem
I nie myślę spowiadać się nikomu
Za słońcem idę prosto przed siebie

W domu kawki obradują po kątach
A w rynnach wróble mają swe sejmiki
Wynająłem dom mym lotnym braciom
Znowu jestem – jak powietrze – nikim

Dlatego tak lekko idzie się przed siebie
Kapelusz od słońca zasłania pół twarzy
Może łatwiej jest wtedy kochać świat
Bo pod ręką masz swoje Bieszczady

Woda w potokach skacze po kamieniach
Jak ikona jest natchniona i radosna
Poziomka modli się pod miedzą
Nic więcej tylko na zawsze tu zostać

Adam Ziemianin



fot. B. Kucharek

**JUBILEUSZ
75-lecia
ADAMA
ZIEMIANINA**

**KONCERT
zespołu
U STUDNI**

2 czerwca 2023 (piątek), godz. 18.00
AGH Kraków, ul. Reymonta 7
sala koncertowa U2

AGH



fot. B. Kucharek

Leszek Długosz

PRZEKWITAJĄ JUŻ W KRAKOWIE NA RYNKU AKACJE

(piosenka)

Sypią się po stołach, do rymu w rozmowach
Bliskie już wakacje
Już się w tych kawiarniach tak nie spotykamy
Jak zeszłego roku
Już tam ktoś w Krakowie
Kogoś tak nie kocha
Jak przedtem nie kocha
Było, nie było ?
Więcej przywidzenia
Snuje się piosenka raczej z urojenia
Zapatrzenie w oczach i milczące usta
W samym środku Rynku
Tuż na skraju lata - pustka
- Pustka

Chodzi lato gwarne, odwiedza kawiarnie
Nadsluchuje szeptów
Namawiań muzyki
Nas już nie przygarnie
- Ktoś tam ponoć szukał
Jeszcze pytał o nas
Ale się zachmurzył
- Nie ma ich tu dawno, ktoś tam odpowiedział
Może są w podróży ?
Było, co było ?
Kto tam dziś pamięta
Niewielka piosneczka
Na coż by jej pointa ?
- Zapatrzenie w oczach i milczące usta
W samym środku Rynku
Tuż na skraju lata
- Pustka

Przekwitają już akacje na Rnku w Krakowie
Lecą kiście białe, wonne, słodkie, duszne
Nie na nasze głowy...

Andrzej Koziół

Z A-B na C-D

Chyba nie wszyscy krakowianie wiedzą, że każda pierzeja Rynku ma swoją nazwę. Od Sławkowskiej do Floriańskiej ciągnie się linia A-B. Pomiędzy ulicą św. Anny i Szczepańską przebiega C-D. Linia E-F łączy Grodzką z Wiślną, a G-H plac Mariacki z Grodzką. I tak się potoczyły rynkowe dzieje, że pierwsza z czterech linii, stała się salonem miasta. Tutaj prezentowano nowe ekwipaże, nowe, wprost z Wiednia, garnitury, wchodzące na małżeńską giełdę dziewczęta - stąd inna nazwa linii A-B: Cielętnik. Tutaj cwaniacy, andry ze Zwierzyńca i Krowodrzy, popisywali się zachwalanymi przez Bedekera złośliwymi powiedzonkami. Tutaj rodziły się plotki, tak jak w wierszu Boya:

Ach, czy już pani wie,

Moja pani, moja pani.

Ach, czy już pani wie.

Co się stało na A-B?

Z czasem sława linii A-B nieco zwietrzała, a ponieważ życie społeczne, podobnie jak przyroda, nie toleruje pustki, rozpanoszyła się linia C-D.

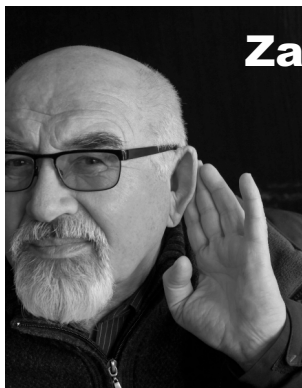
Zaczyna się równie imponująco, jak się kończy, bo zamykają ją dwa pałace: „Pod Baranami” (Potoccy, słynne bale i wspaniałe wyżerki, nocujący tam Franz Joseph i „Piwnica) oraz „Krzysztofory” (diabeł siedzący na stosie złota, rewolucja krakowska, wspaniały teatr Kantora). Dodajmy jeszcze, że mieszczący się tam skład fortepianów był podobno najlepszym w Europie miejscem do upicia się.

I jeszcze chadzający tędy Stanisław Przybyszewski, który zzuł buty, aby oddać je – nieomal cisnąć w twarz – Gabryelskiemu od fortepianów. Jeszcze Hawełka – piwo, przesławne kanapki, delikatesy z całego świata i *Zeitgenossen*, Koło Współczesnych, skupiające krakowskich uczonych. I jeszcze „Kukiełki u Hawełki”, kabaret. A na naszych już oczach – Stanisław Balewicz, poeta dyrektorujący w „Krzysztoforach”, gadatliwy jak niegdyś Rydel, poluje na rozmówców. I miejski folklor - Józio Matematyk, sępiący w „Europejskiej”, Piątek, malowniczy zbieracz końskich odchodów, szalona preclarka.

A pośrodku C-D „Vis á vis” zwany „Zwisem”, ale to już inna, nowa historia...



fot. B. Kucharek



Zasłyszane lewym uchem, czyli kronika towarzyska:

*Wieści ze Zwisu i okolic zasłyszane przez
Nadredaktora B. K.*

Redakcja „Vis á Vis” udziela pochwały „przed
frontem” dla Pani Magdy K. za sprawną dystrybucję
naszej gazetki.

Ktoś, kiedyś powiedziałem, że ludzie odchodzą, a Zwis jest dalej.
Co więcej, przychodzą nowi ciekawi ludzie. Życie nie lubi próżni.

Odnotowujemy „najazd” sympatycznych Kaszubów na Zwis. Witamy!

Pewien dobrze wszystkim znany bywalec „Vis á Vis” pochodzący z cyt. „dobrego
domu” podczas tańca odkrył u partnerki punkt erogenny.
Pomimo próśb nie określił bliżej jego położenia.

Naszą gazetką jest zainteresowana Biblioteka Jagiellońska. Jeśli ktoś posiada stare,
zbędne egzemplarze prosimy o przekazanie ich do Redakcji.

„Nocna Zmiana” rozwija się kulinarnie. Jeszcze trochę, a przy stoliku Piotra pojawi
się kociołek z zupą i kielbaski z rożna.

Na czerwcowej manifestacji w Warszawie pojawiła się także reprezentacja
„Vis á Vis”.

Nasz felietonista dowiedział się od chłopców z Sępólna Krajeńskiego
biesiadujących w Zwisie, że jest ładną podobny do znanego barda
Andrzeja Sikorowskiego. Na pytanie czy mu to przeszkadza, felietonista
odpowiedział, że absolutnie. Jest mu wręcz miło, że ktoś go myli ze
znanym piosenkarzem.

Z OSTATNIEJ CHWILI: Zwisowy model Boguś uległ wypadkowi.
Współczujemy. Życzymy szybkiego powrotu do zdrowia.

Fundusz gazetkowy:

Stan po wydaniu majowym: 594

Druk gazetki czerwcowej: 524, 594 – 525 = 69

Fundusz zasilili: Józef T. - 50, Yvonne C. d' C.- 50, Va'V -262, Romuald K. - 60,

Jerzy Z. - 20, Zygmunt D. - 50, Małgorzata C.-M.- 100 = 661 Dziękujemy!

Stefan Szlachtycz

FILIPAK, Adieu - cz. 4



fot. archiwum

Rysio wygrywa kłótnię z Mietkiem Świąćickim o to, kto ma zaśpiewać. Śpiewa, równie zabawne, co nieprzyzwoite „czastuszki”. Śniadanie przeciąga się do podwieczorku. Potem RF poszedł w miasto, napić się naprawdę. Niebawem jego ilość wypitego alkoholu przechodzi dialektycznie w jakość. Wydarza się dramat w dramacie. Rysio traci przytomność na scenie na skutek ataku padaczki delirycznej. Dwukrotnie zrywa spektakl, co jeszcze mogło ująć, jako przejaw choroby, ale wyczyn po powrocie ze szpitala, już nie. Pobił dyrektora administracyjnego teatru, łamiąc mu przy tym rękę. Powodem była opieka, jaką dyrektor okazał partnerce Rysia, pozostawionej bez środków. - Ja tu jeszcze wrócę. Ale jako wasz dyrektor! - brzmiała pogroźka, jaką wypowiedział RF, odbierając dyscyplinarne wypowiedzenie. Paradoks miał się, poniekąd spełnić. Partnerka Rysia też odebrała swój wymiar fizycznej kary, po czym została porzucona, wraz z dzieckiem, tym podobnym do Rysia. Tenże, ku zdumieniu wszystkich spowodował urzędowe zaprzeczenie ojcostwa, ale odrzuconym zostawił mieszkanie na Waryńskiego, czyli św. Gertrudy. Protektorzy nie zostawili go na ulicy. RF dostaje przydział na obszerny lokal po Ludwiku Solskim, przy ulicy jego imienia (d. św. Tomasza); nawet z telefonem, co wtedy było spec wyróżnikiem! Nie jest długo sam, nowa partnerka nie zdaje sobie sprawy w co się pakuje zamieszkując u Rysia. Jest i inny lokator. Mariusz Niwelt jest utalentowanym, wykształconym kompozytorem i akompaniatorem, już wcześniej współpracował z Rysiem. Jest Cyganem/Romem, który porzucił swoich i ma polską rodzinę. Uzależnienie od alkoholu sprawia, że i on łąduje na ulicy. Rysio przygarnia wyrzutka, daje wikt i opierunek, nawet funduje mu pianino, chyba za pieniądze od nowych przyjaciół. Snują plany muzyczne, i... piją, bez żadnych hamulców. Niestety, delirka Mariusza jest już dalej posunięta. Wychodzi na najwyższe piętro klatki schodowej i skacze z okna. Ta śmierć robi ogromne wrażenie na Rysiu. Pije jeszcze więcej. Pewnego dnia, jego nowa partnerka wzywa mnie telefonicznie. Na ratunek! Na Solskiego jest też, nie wiem skąd przybyły brat Rysia. A Rysio, zlany potem i... moczem, miota się w łóżku, odpędza jakieś zwidy, ryczy jak zwierzę i szlocha jak dziecko, na przemian. Ale najgorsze, że chce powtórzyć wyczyn Mariusza, wybiega na klatkę schodową, by wyjść na najwyższe piętro... Wieszamy się na nim we troje, hamujemy w wybitym oknie, wciągamy jakoś z powrotem. Nie chciałbym drugi raz oglądać spektaklu teatru „dete” (delirium tremens). Wreszcie jest pogotowie, dostaje zastrzyk i zabierają go do szpitala.

Tym razem pobyt trwa dłużej. Odrucie organizmu, leczenie internistyczne. Medycy nie posiadają się ze zdumienia, że wątroba pacjenta wyszła ocalona z opresji, jakiej była poddana. Skutki zlokalizowały się gdzie indziej, w głowie. RF zrozumiał, że otrzymał ostatnie ostrzeżenie Losu.

Sex i jego okolice Poradnik cz. I

W związku z obserwowanym nadejściem wiosny, budzą się nowe tematy rozmów u niektórych pensjonariuszy naszej kawiarenki.

Widząc palącą potrzebę usystematyzowania i przypomnienia powyższego tematu postaram się przypomnieć co i jak obowiązywało kiedyś, według ówczesnych pisemnych reguł i zasad.

Andrzej Tokarski

KIERUNEK INSTYNKTU PŁCIOWEGO

Funkcje płciowe nie są właściwe każdemu wiekowi, a zatem wykonywane przed lub po pewnym wieku mają swe zgubne następstwa, nawet jeżeli będą umiarkowanymi. W przyrodzie życia płciowego ich wykonywanie sprowadza rozmaite skutki, według tego czy jest żadne, odpowiednio uczynione, lub w nadmiarze. Nareszcie, wykonywanie takowej funkcji może być połączone z manewrami niedozwolonemi, które do wszelkich nadużyć rokoszy miłośnej dodaje powiększoną chuć a zarazem niebezpieczeństwo.

SPÓLKOWANIE WZESNE. SKUTKI I HYGIENA, KTÓRE SIĘ DO TEGO ODNOSZĄ.

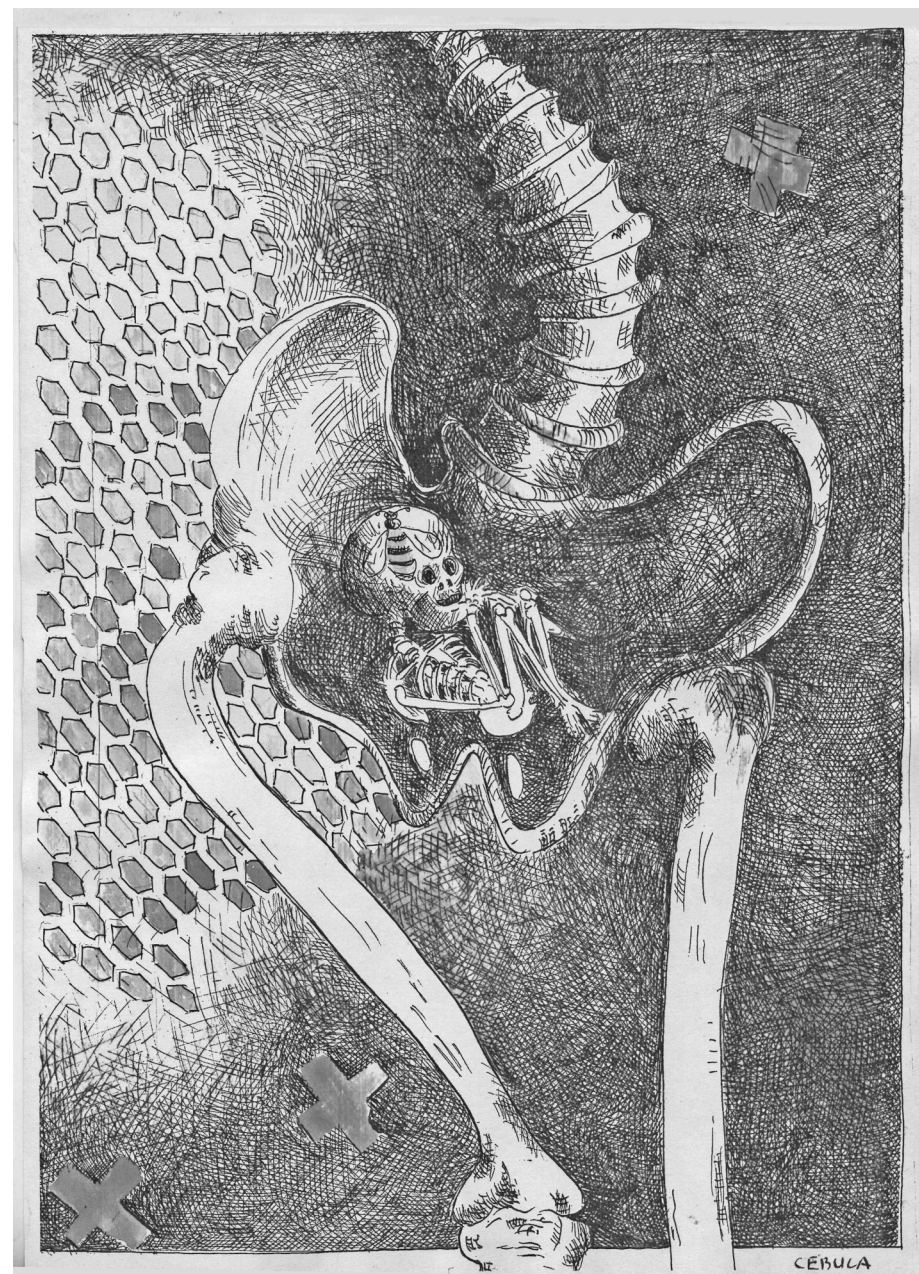
Wiek dojrzałości jest chwilą gdzie się objawia instynkt płodzenia. Rzadko zachodzi potrzeba pobudzać zdolność rodzajową, chyba że osłabienie takowej zależy od nadmiaru jej użycia, co na nieszczęście jest zbyt częstym. Najczęściej potrzeby te powinny być wstrzymywane. Trzeba zajmować młodych ludzi nauką historii, odkryciami naukowymi, jeżeli lubią polowanie, jazdę konną, to im tego dozwalać.

Rozwijając ich władze umysłowe, oddalać od towarzystwa kobiet, nie dozwalać czytać romansów, lub patrzeć na obrazy chuć wzbudzające. Wystawić następstwa z tego wypływające, można zaprowadzić młodego człowieka do szpitala wenerycznego i okazać mu okropny widok rozpusty. Jest złem zwyczajem ukrywać dzieciom, to co się tyczy funkcji płciowych, lepiej na ich pytanie dać odpowiedź prostą bez żadnego kolorytu o mechanizmie zapłodnienia, jak zbywać ich milczeniem, które podtrzymuje tylko ciekawość.

Stosunki płciowe wczesne przed zupełną dojrzałością, powodują wielkie niebezpieczeństwa. Ten co to czyni nie tylko że niszczy siebie lecz zapładnia dzieci słabowite. Wyradza się dla niego wychudnienie, wycieńczenie nerwów, choroba angielska, pruchnienie kości, sparaliżowanie, suchoty, wielka choroba i wiele innych chorób, a u młodych dziewcząt, oprócz tego zmiana rysów, cierpienie nerwowe, hysterya, białe upławy itp. Co do dzieci urodzonych z tego stosunku te są małemi, słabowitemi, rachitycznymi, łatwo umierają, a jeżeli żyją płodzą ludzi jeszcze słabszych, tak że jeżeliby nie zawierano przynajmniej z jednej strony związków małżeńskich z ludźmi zupełnie zdrowymi, nastąpiłaby zupełna zagłada familii i dla tego prawodawstwo oznacza wiek konieczny do zawierania związków małżeńskich.

c.d.n.

Henryk Cebula - grafiki:



Jerzy Antkowiak

KOCHAM PANA PANIE SPODKU, albo REWIA MODNYCH i PIĘKNYCH PŁASZCZY ZDOBIONYCH MALARSTWEM NOWOSIELSKIGO, OSOLIŃSKI ŚWIĘTUJE, NOSPRA BOLERO RAWELA ŚWIĘTO MODY i MÓD i niebotycznie wysokich modelek, wiotkich modeli. SPODKU SPODECZKU cóżeś mi uczynił, że nad tobą unosiła się sylwetka WIELKIEJ GWIAZDY MODY i MODY POLSKIEJ BODZI SWOROWSKIEJ...



fot. archiwumi

Tytuł przydługi, ale i HISTORIA MODY do krótkich nie należy. Wieczór 20 MAJA w katowickim SPODKU był i MAGICZNY i niewątpliwie SOMNAMBULICZNO TAJEMNICZY. Poprzeczka była obłądnie wysoka: MALARSTWO NOWOSIELSKIEGO – filozof prawosławny, ikono pisarz i malarstwo „ruchome” niczym PARYŻ HEMINGWAY’A, BOLERO, które kocham „od zawsze” przeniosło mnie do przysłowiowego NAMIOTU WEZYRA i baletu BÉJARTA sprzed lat w Warszawie



fot: autora

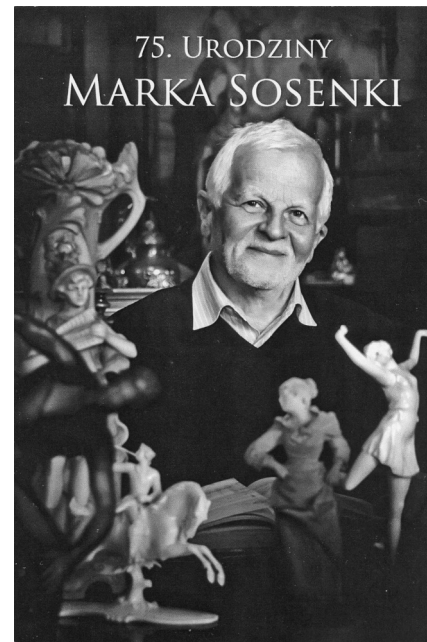
w kalekiej hali na Powiślu. Gdyby wtedy... Nie, nie mogę tak sobie gdybać, a piszę jak zawsze z pamięci i od zawsze „na czysto”, chciałem tylko sobie wyobrazić tamto BOLERO wykonane we współczesnym SPODKU, a że było ciemno jak u MUSORGSKIEGO w NOCY NA ŁYSEJ GÓRZE, to moje emocje sięgnęły zenitu. Ponieważ jestem na takim etapie „starczej młodości poszukującej we wszystkim TWÓRCZEGO CHAOSU” – moje bywanie w filharmoniach już coraz radsze, śledzenie w MEZZO wszystkiego ze wszystkim i ta noc i wieczór w SPODKU tak rozhulały moją wyobraźnię, że w tę zapewne zamierzoną szlachetnie brzmiącą CISZĘ BOLERA wjechały na hulajnogach moje ostatnio kolorowo malowane zakonnice. ARCHITEKTURA KATOWICKIEGO SPODKA kojarzyła jakiś kosmos z latającego talerza oglądany, najlepiej w kinie, które już nie istnieje, czyli w KINIE „TATRY” w WOLSZTYNIE.

Za zgodą „Głosu Pruszkowa”

Fragment. Cały tekst, w Głosie Pruszkowa: www.gpr24.pl

Poza ZVIS'em:

Marek Sosenko 75-te urodziny



fot. H. T. Kaiser

Marek Sosenko - antykwarisz, numizmatyk, kolekcjoner, fundator Fundacji Zbiorów Rodziny Sosenków, w tym zbioru historii zabawki i historii pocztówki. Autor wielu wystaw i publikacji.

Odnaczony orderem Zasłużony dla Kultury Polskiej, odznaką honorową Zasłużony Działacz Kultury, nadanymi przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego za tworzenie, upowszechnianie i ochronę kultury polskiej oraz odznaczeniem Honoris Gratia przyznany przez Prezydenta Miasta Krakowa za zasługi dla Miasta. Laureat nagrody im. Klemensa Bąkowskiego przyznawanej przez Towarzystwo Miłośników Historii i Zabytków Krakowa za zasługi w pracy naukowej i działania na rzecz Krakowa.



fot. W. Morek

Andrzej Pacuła

Telefon od zawiedzionego

P - znajomy, emeryt o stałych dochodach.

J - ja, emeryt na utrzymaniu żony.



fot. B. Kucharek

J - (dzwoni telefon, odbieram)

Cześć, gdzie się podziewałeś?

P - Byłem na objazdówce po Włochach...

J - Czyli po Italii...

P - No tak, po Włoszech i muszę ci powiedzieć, zniesmaczony jestem! Wenecja! Brudna, cuchnąca, domy z liszajami, tynk odpada i smród. Wszędzie smród. Żeby wejść na świętego Marka to cię przeszukują i prześwietlają, jak w Białym Domu!

J - Co ty powiesz?

P - A Neapol? Miasto do zaorania. To samo Capri. Przerklamowane. Widziałem willę Zośki Loren!

J - Ale ci zazdrościsz...

P - Coś ty, nie ma czego. Powiedziałbym nawet, że kurnik. Nasz Lewandowski ma lepszą.

J - Zaprosiła cię?

P - Coś ty, a nawet gdyby, to bym nie poszedł. Stare próchno. I co było przygnębiające? Mnóstwo robactwa.

J - Robactwa?

P - Islamu! W Luce dosłownie otoczyli nasz autobus. Jednemu dałem kopa w dupę.

J - Co ty powiesz?

P - A coś ty myślał. Otoczyli nas i wciskali na sprzedaż jakieś kicze, obrzydlistwa. Pełno tego.

J - A co cię zachwyciło?

P - Asyż. Piękna ta katedra świętego Franciszka i miasteczko, jak z bajki. Cudne. I ani jednej zakazanej mordy.

J - Czyli kogo?

P - No, uchodźców. Franciszkanie ich gnają. Ani jednego. Jak pięknie. A potem byliśmy w Rzymie. No Rzym, jak Rzym. To Colosseum to, proszę ja ciebie, ruina. Kiedyś byłem w Chorwacji i tam widziałem amfiteatr. Piękny. A nie te ruiny. Przerklamowane.

J - A byliście w Watykanie?

P - No masz. Od rana do wieczora. Modliłem się przed naszym papieżem. I byliśmy na audiencji u Franciszka. Przejechał jakiś metr ode mnie. Tak blisko go miałem. Bazylika i Kaplica Sykstyńska, no mówię ci, robią wrażenie. A na koniec Monte Cassino. Piękny klasztor tam jest. A jaki widok! No i byliśmy na cmentarzu.

J - I jak?

P - No muszę ci powiedzieć, że mnie rozczarował.

J - A czemu?

P - Bo mały! Myślałem, że jest większy.

(nieprzyjaciele), bo ...mają większy potencjał ludzi i materiałów, kontrolują wodę i powietrze, są właścicielami bogactw surowcowych prawie całej Ziemi i Księżyca, a wkrótce zawładną także Marsem i Wenus. I pewnego dnia będą mogli przebić się przez naszą izolację bez strachu przed bronią odwetową, zagładą czy bombami wirusowymi niszczącymi system nerwowy.(...) Takich uwag, opisów, charakterystyk, analiz społeczeństwa jest wiele, z technicznymi detalami włącznie. Świetnie napisana książka, przy której przychodzi na myśl Jevgenij Zamjatin i George Orwell.

Marek Michalak

Droga do raju cz. 60

Po drodze do raju...

z Bennym Watersem



fot. B. Kucharek

Benny Waters - wspaniały jazzman - klarncista i saksofonista występował w swoim długim, 96-letnim życiu na wielu scenach międzynarodowych festiwali jak również w klubach jazzowych. Miałem to szczęście, że kilka razy mogłem z nim zagrać. Pierwszy raz, to był festiwal w Dunkierce. Był gościem specjalnym holenderskiego Dutch Swing College Band. Jego pojawienie się na scenie wywołało burzę braw. Miał wtedy ponad 70 lat i niepodważalną opinię gwiazdy jazzu. Grał jednak wciąż na zdezelowanym klarncie, na którym część mechanizmu funkcjonowała dzięki gumkom recepturkom. Zespół postanowił zrobić niespodziankę i wręczył mu nowy klarnet. Z najwyższej półki, z połączanymi klapkami marki „Selmer”. Wzruszenie udzieliło się wszystkim obecnym, a łzy szczęścia „ochrzciły” klarnet. Po koncercie, podczas jam session udzieliła mi się jego euforia i razem tworzyliśmy riffy dla wzbogacenia brzmienia solówek poszczególnych muzyków. Prawie 20 lat nie krzyżowały się nasze drogi, w końcu spotkałem go w stolicy Kalifornii, w Sacramento. Potem jeszcze dwa razy w Niemczech. Do Atzing przyjechał z opiekunem - miał już blisko 90 tkę i niestety przestał widzieć, ale wciąż grał doskonale. A jego opiekunem był o 10 lat młodszy brat! Ostatni raz miał miejsce w kultowym Jazz Clubie, w Hanowerze. Miał tam koncert w kwartecie z towarzyszeniem jazzowej wokalistki z Anglii. Pozwolił mi pod koniec grania dołączyć do zespołu. Nie obyło się bez bisów. W pewnym momencie ktoś z publiczności poprosił głośno o wykonanie jakiegoś standardu. Wokalistka знаła, ale pianista nie. W tym momencie Benny powiedział: ja to zagram na pianinie. W której tonacji sobie życzysz? Szok? Żart? Nie. Pełne zaskoczonko. Benny zapytał mnie, czy pomogę trafić mu do pianina. Chwila napięcia, nabicie tempa i „poszło”. Utwór zabrzmiał, jakby był przygotowany na próbie. Zawodowy akompaniament niewidzącego pianisty „zamurował” słuchaczy. Długa owacja na stojąco i ten szeroki uśmiech Bennyego ciągle towarzyszy mi na drodze do raju.

Ladislav Volko

Liścik z Bratysławy nr: 102



foto: N. Pazdej

Od prawie 40 lat po raz pierwszy nie otrzymałem zaproszenia na spotkanie z okazji Święta Narodowego Trzeciego Maja, które organizuje Ambasada Polska. Jest to oczywiście wyłączone prawo każdej ambasady i J. E. ambasadora, kogo zaprosić a kogo nie. Dla mnie jest to jedyna okazja w roku i na pewno nie tylko dla mnie, żeby spotkać ludzi, którzy mają cokolwiek wspólnego z Polską i których się na codzień nie spotyka. A zwłaszcza że ambasadorem jest krakus z mojej Alma Mater, J. E. Krzysztof Strzałka. Nie ukrywam – to trochę zabolalo, bowiem na dobre kontakty Słowacji z Polską, czy odwrotnie zapracowałem i nadal działam. Sam byłem ambasadorem i wiem jak, co, z kim i dlaczego. No cóż, przeżyję. Mój stosunek i mojej rodziny do Polaków i do Polski się nie zmienia, jesteśmy związani z polską aurą we wszystkich jej wymiarach - na furt, jak mawiają w moim rodzinnym mieście Kežmaroku. *Wiwat Trzeci Maj* – jak napisano reportażu z uroczystości świetnie zredagowanym Monitorze Polonijnym. Ale mam i pozytywne wiadomości. Jak Bóg zechce i ludzie pomogą to moje *Liściki* ukażą się w postaci książki. Znaczący się – pilnie poszukuję sponsorów. Pomożecie? - jak mawiał Gierek. Każdy grosz dobry – mówię ja. Obiecuję dużo wspaniałego wina słowackiego, smakołyków przeróżnych, na promocji książki *Liścików*. I śpiewy i muzyka, a może i tańce. Po raz pierwszy przeczytałem wszystkie liściki, ciurkiem. Niezłe. A jak to mówi autor, to coś w tym być musi...! Samokrytycznie przynajmniej - parę razy się powtarzam – no bo to są liściki i tam można. Z drugiej strony pisałem o mnóstwie oryginalnych spraw, osobowościach, zdarzeniach, wzajemnych kontaktach Słowaków z Polakami i Polaków ze Słowakami, o ludziach, którzy kontakty te realizowali. Drogich czytelników *Vis a Vis* informowałem o życiu i przelotach z Europy do Afryki i z powrotem orlicy z pięknym imieniem – *Anička*, itd., itp. Z innej beczki: czytam niesamowitą książkę autora z NRD, *Gert Prokop: Kto by już krał nogi!* (*Wer stiehlt schon Unterschenkel*, Verlag Das Neue Berlin, 1977). Słowackie wydanie się ukazało w 1980 roku z pod tytułem *Kryminały XXI wieku*. Bohaterem jest *Timothy Truckle*, do nikogo nie podobny detektyw, który za pomocy swojego komputera *Napoleon* i logicznego rozumowania, znajduje przyczynę zdarzenia i jego sprawcę. Jest to po prostu science fiction, tylko detektyw *Timothy Truckle* jest kimś w rodzaju bohatera Agathy Christie *Poirota*. Zarazem jest to socjologiczny obraz społeczeństwa w pełni zautomatyzowanego, totalitarnego, w którym niema uczuć, naturalnych potraw, zhierarchizowanego i zamkniętego w sobie. Tylko nieliczni superbogaci obywatele decydują o wszystkim i wszystkich, mają dostęp do *starych* dobrych naturalnych potraw, win i trunków. potajemnie podziwiają *starą sztukę*. I boją się tych na ZEWNAŁTRZ

Galeria Portretów cz.135

Letnie dziewczyny

fotografie: Henryk Tomasz Kaiser





fot. B. Kucharek

Adam Komorowski

Bez poety za barem

Udawanie, że nic się nie stało byłoby nieprzyzwoite. Zwis rozstał się ze swoim barmanem Markiem Wawrzyńskim. Przez ponad 20 lat uzyskał równie emblematyczny status jak najbardziej znani bywalcy. Coś takiego udało się tylko jego poprzedniczkom Pani Krysi i Pani Zosi. Stojący za barem, rozpoznawalny

poeta był jedną ze Zwisowych osobliwości. Poeta za barem dodawał lokalowi dodatkowego prestiżu i osobliwej aury, tym bardziej, że gospodarzenie za barem traktował równie poważnie jak swoją poezję. Niekiedy ten połączony solennością dystans dezorientował niektórych gości, podobnie jak jest w przypadku czytelników jego poezji. Byłoby przesadą sądzić, że ma samych wielbicieli.

Jest Marek czołowym przedstawicielem minimalizmu w poezji polskiej. Jego minimalizm ma odmienne źródła niż, dziś dość powszechna, fascynacja japońskimi haiku. Są nimi antyczne łacińskie epitafia i emanujący z nich *amor fati*, duch stoicyzmu. Ten rodzaj inspiracji zrodził jedno z najbardziej zadziwiających zjawisk w poezji XX wieku, pisane w okopach I Wojny wiersze Giuseppe Ungarettiego:

*z tych domów
nie ostał się
kawalek muru*

*ale w moim sercu
żadnego nie brakuje
krzyża*

Poezja Marka powstrzymuje się przed interioryzacją formatowanych przez uwagę obrazów, zadowala się wskazaniem, że są nie tyle symbolami, co śladami czy tropami:

*ptaki kotłują się między blokami
niby nad padliną lub miejscem
gdzie zaszło coś niezwykłego
ale wszystko w porządku
widzę to po ruchach przechodzącej kobiety*

Fakt, że ktoś taki jak Marek poeta czynił nas przedmiotem swojej, doszukującej się wszędzie śladów i tropów, uwagi nie za bardzo dawał się ukryć i mógł działać na wielu deprymująco. Od barmana oczekujemy przywilności natomiast od poety przenikliwości. Bycie barmanem i dobrym poetą jest trudne do pogodzenia. Jeśli coś takiego przez ponad dwie dekady w Zwisie miało miejsce należy do jego historii.

Teraz czekamy kiedy siądzie z nami w Zwisie klient jak my. Wszyscy wtedy pocujemy się pewniej. Takiego barmana już nie będzie, ale Zwis tak.

takiej decyzji. A co ostatecznie na taką a nie inną wpłynęło, czytamy w sprawozdaniu. Otóż *sam widok mogił Krakusa i Wandy, naprowadził był wcześniej nieuprzedzone mniemaniem umysły, do życzenia dla Kościuszki równie trwałego, równie w prostocie swojej szlachetnego pomnika, którego stosowność do iego zrównanej wielkości i skromności się nasuwała.*

W budowę zaangażowany był cały naród. A podobno nawet będący przejazdem obcokrajowcy też przykładali ręki do tworzenia tego dzieła. Nie słyszałem o żadnym głosie sprzeciwu czy wątpliwości co do sensowności przedsięwzięcia. U nas ewenement! Zaborca austriacki co prawda obudował kopiec fortyfikacją, ale pozostawił swobodny doń dostęp, a sam obiekt, kluczowy w fortyfikacji, nazwał imieniem Kościuszki. Hitlerowska bandyterka miała co prawda zamiar zniwelowania kopca. Słusznie uważali go za symbol polskości i narodowej dumy. Ale nawet gubernatorowi Frankowi ręka zadrżała i podpisu pod rozkazem zniszczenia nie złożył. To czego nie zdołali dokonać najeźdźcy zrobił czas, przyroda i permanentny brak pieniędzy. W 1997 po katastrofalnych letnich ulewach Kopiec trzeba było poddać gruntownej naprawie. Komitet Kopca Kościuszki opiekujący się nim od powstania w 1820 do dziś, stanął na wysokości zadania. Zorganizował zbiórkę społeczną i wydebił od władz centralnych odpowiednią subwencję na ten cel. Konieczne było rozebranie części kopca tak dalece, że zniknął z panoramy Krakowa. Pamiętam doskonale, że wówczas czułem się nieswojo. Patrząc na wzgórze bł. Bronisławy którego nie wieńczył stożek Kopca, miałem uczucie jakby mi ukradziono coś bardzo osobistego. Na szczęście po kilkuletnim remoncie charakterystyczny stożek znów wieńczy zachodnią panoramę miasta. Na razie tyle, ale jeszcze powrócę do opowieści.

Tu ma swój ką
Iwona Siwek-Front



Lesław Pizło

Jeszcze o pomnikach

Bodajże to S. Mrożek oświadczył że najgorsze co może go spotkać po śmierci, to gdyby wystawiono mu pomnik. Nie rozumiem, mówił, co to za zaszczyt. Stać gdzieś, na widoku publicznym, z utraconym nosem i obsrany przez gołębie. Miał facet rację. Wystarczy spojrzeć na galerię bezdyskusyjnie wielkich Polaków w parku Jordana. Wszyscy co do jednego nie mają nosa, lub jest on czarny i nieudolnie doklejony po ostatnim ataku wandalii. Istna galeria syfilytyków w ostatnim stadium choroby.

Pomnik, jak sama nazwa wskazuje, ma upamiętniać jakieś doniosłe wydarzenie lub osobę i jej wybitne dokonania. I te rzeczy muszą być bezdyskusyjne i spotykać się z powszechną aprobatą. No bo cóż to za zaszczyt gdy jakaś grupa wznosi monument a inni oblewają go farbą, „ozdabiają niepoehlebnymi napisami” czy wręcz jest obalany pod osłoną nocy. Przykładem, wzniesiony pochopnie pomnik prałata Jankowskiego w Gdańsku. Lub jeżeli policja musi dzień i noc strzec pomnika przed tego rodzaju ekscesami, co na pewno nie świadczy o doniosłości wydarzenia czy też bezdyskusyjnych zasługach postaci stojącej na cokole.

Mamy w Krakowie trzy pomniki, które zostały wzniesione z woli ludu, wspólnym wysiłkiem i nie budzą żadnych kontrowersji. Są przykładem godnym naśladowania. To Kopce poświęcone Wandzie (tej co nie chciała Niemca), Krakusowi i Kościuszce. Pierwsze dwa powstały w czasach przedhistorycznych i skoro przetrwały do dziś, to na pewno nikomu nie przeszkadzały. Nad tym trzecim zatrzymam się nieco dłużej, gdyż mam w ręku sympatyczne dziełko pod tytułem „Pamiętnik budowy pomnika Tadeusza Kościuszki”. Jest to szczegółowe sprawozdanie społecznego ciała powołanego do kierowania budową Kopca Kościuszki. Spora książeczka, na czerpanym papierze wydana, w 1826 roku. W pierwszym zdaniu czytamy: *było w potrzebach narodu polskiego aby Kościuszko miał swój pomnik na oyczystej swojej ziemi i miał go godnym siebie*. Jak duża była to potrzeba niech świadczy fakt, że nawet sam *Cesarz Aleksander wielkomyślnie nieprzeciwstawił się bynajmniej zaspokojeniu tej potrzeby Narodu*. A mógł czuć jakąś niechęć do naszego bohatera, bo ten dał mu nieźle popalić w przeszłości. Nad samą formą pomnika senat zastanawiał się przeszło dwa lata, zdając sobie sprawę z doniosłości



foto: B. Kańska - Bielak

Jan Woleński

DRUGI EPIZOD Z ROMANEM INGARDENEM

Ingarden był typowym profesorem w starym stylu – wytwornym, uprzejmym, przestrzegającym etykiety akademickiej itd. W latach 1962–1964 byłem przewodniczącym Koła Filozoficznego Studentów UJ – Ingarden był jego opiekunem, przychodził na każde posiedzenie i siadał w ostatnim rzędzie. Moim głównym obowiązkiem było organizowanie odczytów w tym gronie. Wygłaszali je profesorowie, ale także studenci. To był dobry okres, naszymi gośćmi byli m. in. prof. prof. Tadeusz Czeżowski, Henryk Elzenberg, Henryk Greniewski, Leszek Kołakowski i Roman Suszko. Pod koniec 1962 r. byłem w Poznaniu z referatem z teorii prawa, wygłoszonym w tamtejszym Kole Młodych Prawników. Tam spotkałem prof. Czesława Znamierowskiego, znanego teoretyka prawa i filozofa. Zgodził się przyjąć zaproszenie do naszego koła. Gdy go zapytałem o temat odczytu, odparł „Opowiem, co ja, stary profesor, myślę o życiu i filozofii”.

Znamierowski zajmował się etyką, w szczególności, propagował koncepcję opierającą się na zasadzie powszechnej życzliwości. Argumentował, że z tej podstawowej maksymy moralnej wypływają bardziej konkretne wskazania, jak np. obowiązek wspomaganie bliźnich czy szanowania przyjętych na siebie obowiązków. Zwykł ilustrować swoje rozważania, także w publikowanych książkach i artykułach, konkretnymi przykładami. W trakcie odczytu w Krakowie mówił o Janie, mężczyźnie w sile wieku, jego spracowanej żonie Marii, też nie pierwszej młodości, oraz młodej ślicznej Laurze. Problem był taki. Jan ma sposobność udania się na Hawaje (w domyśle, zdradzić Marię z Laurą). Pytanie, co dyktuje mu zasada powszechnej życzliwości, czy wyjazd z Laurą czy pozostanie w domu z Marią. Odpowiedź Znamierowskiego była jednoznaczna – powinien pozostać w domu z żoną. I wtedy dał się słyszeć głos Ingardena „Ależ dlaczego?”. Znamierowski z nieskrywanym oburzeniem zareagował „Romanie, jak możesz?”. Na to Ingarden odparł „Drogi Czesławie, naprawdę nie rozumiem, dlaczego Jan nie miałby pojechać z Laurą na Hawaje”. Obaj profesorowie obstali przy swoich poglądach, z tym, że Znamierowski traktował rzecz z niezwykłą powagą, a Ingarden raczej z przymrużeniem oka – w relacjach nieformalnych był czarującym człowiekiem. W 1961 r. miało miejsce ogólnopolskie studenckie sympozjum filozoficzne. Ingarden był jednym z zaproszonych referentów. Zaprosił całą grupę uczestników z Krakowa do „Jędrusia” (znana zakopiańska kawiarnia) na kawę, ciastka i wino. Było jasne, że bardzo był zadowolony z towarzystwa kilku urodzwych dziewcząt.

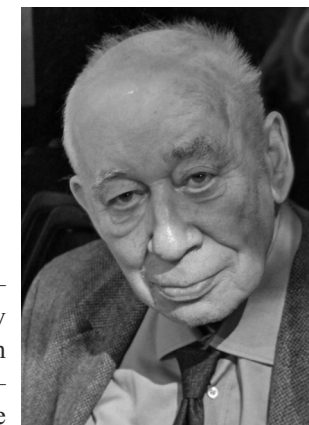


foto: B. Zimowski

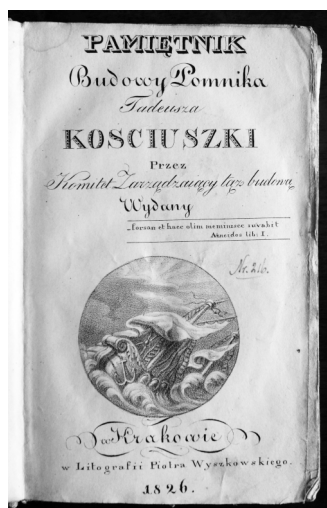


foto: autora

Krzysztof Miklaszewski

SPEKTAKLE, O KTÓRYCH WARTO PAMIĘTAĆ

Premiera sierpnia

„REWIZOR” Nikołaja Gogola

Inscenizacja i reżyseria: JÓZEF SZAJNA

Premiera: Teatr Ludowy, Kraków – Nowa Huta – 27 listopada 1963

Premiera telewizyjna: Teatr TV [Telewizyjny Festiwal Teatralny]

– 31 sierpnia 1964

* * *

Skandal z Szajną, czyli Gogol „prze szajnowany”

Bez Józefa Szajny [1922-2008] podbijający świat teatr polski lat 70. i 80. tych, byłby o wiele uboższy. Ten znakomity malarz i twórca sceniczny, którego znaczące przedstawienia ozdobiły na trwałe historię scen nie tylko całej Polski, nie tylko zadziwił każdym nowym projektem, nie tylko prowokował do dyskusji niezbędnej odkryciu nieustannie poszukującej sztuki teatru, ale i bulwersował swoją niepoohamowaną wizją wewnętrznych przeżyć.

Józef Szajna – długie lata <dusił się> w teatrze jako znany i poszukiwany scenograf, a jego malarska wyobraźnia, której owocem były znakomite scenografie do znaczących spektakli Krystyny Skuszanki i Jerzego Krasowskiego (przypominam opisaną w tym cyklu wersję sceniczną Steinbeckowskich „Myszy i ludzi”) w Nowej Hucie, nakazywała mu jednocześnie bunt i niesubordynację wobec pary tych wspaniałych reżyserów, którzy na przełomie lat 50. i 60. tych stworzyli w dawnej podkrakowskiej wiosce Mogiła walczący o nowe treści teatru poszukujący. Znaczy to, że każde nowe przedstawienie Krasowskich, powstające - zresztą - w ścisłej współpracy z Szajną, starało się stanowić weryfikację utrwalonego w tradycji obrazu.

Szajna zawsze zdawał sobie sprawę, że <odkrywać na nowo> warto tylko pozycje w sztuce znaczące i utrwalone. Stąd jego pomysł <zrobienia po swojemu> mocno osadzonej na scenie polskiej klasycznej komedii Nikołaja Gogola „Rewizor”. Pomysł zrealizowany - od razu - w momencie, kiedy to Krasowscy odchodząc z Nowej Huty do Warszawy, osadzili go na dyrektorskim stolcu.

<Malarska, kreacyjna błazenada bez granic> - taka definicja scenicznego obrazu Szajny, który wziął na warsztat, bardzo realistyczną satyrę, wyszydającą korupcję lokalnej carskiej władzy – wydaje mi się dzisiaj najbardziej trafna.

Bo jakże inaczej określić wzmożony ruch sceniczny gromady biurowych sługusów, poubieranych w robotnicze <waciaki>, a przyklepionych w służalczych pozach do swego <pana i władcy> - Horodniczego, który świeci bezwstydnie i poraża - gołym brzuchem.



fot: archiwum

Jak wytłumaczyć cielesny trud aktorów, których każde działanie oznacza <przebijanie się> fizyczne poprzez krępującą ich materię śmietnika <brudnej pościeli>, z której – w końcu – wyłonić się ma szatański kontroler z centrali czyli tytułowy ... rewizor.

Tym to sposobem Szajna spiętrzył trudności: budując na scenie wizualną machinę, którą trzeba po prostu... opanować, nie skreślił z Gogolowskiego tekstu ani słowa. Aktorzy stanęli więc przed arcytrudną lekcją jednoczesnego pokonywania dwóch progów: zachowania logiki w interpretacji tekstu i opanowania działania w akcji, którą fizycznie utrudniają przeszkody scenicznej materii.

Zespół nowohuckiego Teatru Ludowego znakomicie poradził sobie z tym zadaniem, a jego protagoniści: Franciszek Pieczka (Horodniczy) i Józef Wieczorek (Chlestakow) dokonywali na scenie rzeczy... niemożliwych, wyzwając w sobie nowe, nieoczekiwane możliwości. Może wtedy dlatego - ja - student krakowskiej polonistyki i moi rówieśnicy byliśmy spektaklem zachwyceni. To, że Gogol został „przeszajnowany” nie tylko nam nie szkodziło, ale pobudzało do myślenia.

Nie znaleźliśmy wtedy wyznań samego Gogola, który napisał: „Komizm kryje się wszędzie i we wszystkim” (...) Aby doń dotrzeć trzeba... zdemaskować i sytuację, i człowieka. (...). Komedie będzie miała sens tylko wtedy, gdy przemówi przy pomocy środków jawnie teatralnych”.

Nie wiedzieliśmy też nic o tradycji scenicznej „Rewizora” w jego ojczystym kraju.

Kiedy się bowiem patrzy dzisiaj na <Rewizora> Szajny, na myśl przychodzi skojarzenia oczywiste: jego przedstawienie nawiązywało wprost do spektakli scenicznej awangardy radzieckiej: przede wszystkim do <biomechanicznych> prób Wsiewołda Meyerholda. Tego - niestety - nie pojęli <uczeni> recenzenci lat 60., przyzwyczajeni do realistycznej wykładni komedii Gogola, odsądzając jednocześnie twórcę od czci i wiary.

Nawet KTT (czyli: Krzysztof Teodor Toeplitz), skądinąd: człowiek bystry i prawdziwie inteligentny, imputował nawet, że ta „inscenizacja <Rewizora> to objawy nieuleczalnego zachwyty Szajny własnym talentem.

„Lud pracujący miast i wsi” – natomiast - czyli: telewizyjny polski odbiorca państwowej telewizji (niczym się nie różniący od dzisiejszego), którego decydenci kulturalni obdarzyli „Rewizorem” Szajny w czasie wakacyjnego, emitowanego w <prime-time> Telewizyjnego Festiwalu Teatralnego [31 sierpnia 1964], nie pozostawił też wątpliwości. Natychmiast - po emisji spektaklu - władze Radiokomiteu otrzymały tony listów protestacyjnych, że to nie tylko... skandal na dalska, ale „działalność antypaństwowa ... szkodliwa i ... paskudna”

Ale pomimo tych recenzenckich jadów i nie kończących się złośliwości widzów nad tym nie do końca może udanym przedstawieniem przejść nigdy spokojnie nie potrafiłem.

Dlatego w roku 1971, kiedy to w rozmowie ze mną, twórca skromnie oświadczył, że jego <Rewizor> to tylko „inscenizacja wyzwolona z prostego ilustratorstwa tekstu”, miód spłynął na moje stroskane serce. Jego „Rewizor” bowiem jątrzył zbyt mocno i zbyt długo niepokoił, zmuszając nas wszystkich nie tylko do reakcji, ale i do... myślenia.

Szajna swoim „przeszajnowanym „Gogolem zapowiadał, że jego „twórczość teatralna nigdy łatwą nie będzie”.